

Rozterki eko-wojownika. Rozmowa z Rodem Coronado

Rozterki eko-wojownika. Rozmowa z Rodem Coronado

Jak to się stało, że zaangażowałeś się w akcje wyzwolenia zwierząt oraz w działania polityczne?

Rodney Adam Coronado: Byłem wychowywany w systemie wartości, który nie postrzegał zwierząt jako własność, w systemie wartości, który opierał się na koncepcji Ziemi jako naszej matki. Nie jest on oparty na teoretycznych rozważaniach, ale jest tym, w czym się wyrasta. Mając taki światopogląd, wystawiany na konfrontację z instytucjonalnym wykorzystywaniem zwierząt i destrukcją planety, doszedłem do akcji bezpośrednich. Były one formą opozycji wobec bardziej standardowych działań, które zajmują lata – lata frustracji i poczucia nieefektywności.

Moje polityczne zaangażowanie rozpoczęło się w połowie lat 80., kiedy dorosłem i ukończyłem szkołę. Bardzo pociągały mnie sprawy związane z ochroną wielorybów, zapobieganiem zabijaniu fok, ochroną zwierząt i niszczeniem przyrody. Odnalazłem siebie w bardziej radykalnych grupach, dlatego, że nigdy za bardzo nie widziałem się w działaniach administracyjno-prawno-politycznych. Jako rdzenny Amerykanin [*Native American*, oficjalne określenie Indian Północnoamerykańskich – przyp. redakcji DŻ], zawsze czułem, że rządzący mieli na celu raczej złamanie grup oporu lub załagodzenie niż akceptację jego postulatów.

Moja taktyka polegała na szukaniu grup, które były najbardziej efektywne lub najbardziej zaangażowane w interwencję i fizyczne zakłócanie procederu zabijania zwierząt. W 1978 lub 1979 r. widziałem film dokumentalny o kampaniach Greenpeace, przeszkadzających polowaniu na foki w Kanadzie, które w tamtych dniach było największą rzezią dzikich zwierząt na świecie. Właśnie ich taktyka akcji bezpośredniej była typem akcji koniecznym w moim odczuciu. A więc byłem bliski im, dopóki nie spostrzegłem kogoś jeszcze bardziej bojowego na politycznej płaszczyźnie akcji bezpośrednich. Był to Paul Watson, który odłączył się od Greenpeace, żeby założyć Sea Shepherd (Pasterze Morza). Ze wszystkich organizacji, do których przyłączyłem się jako nastolatek, główną organizacją zajmującą się ochroną zwierząt było Sea Shepherd, z którym miałem najlepszy kontakt. Kiedy miałem 17 lat i opuściłem szkołę, zacząłem pracować dla nich na pełnym etacie w kampanii przeciwko polowaniu na wieloryby na Wyspach Owczych, będących miejscem prawdziwej rzezi tych ssaków. Moja pierwsza wyprawa miała miejsce w 1985 r., kiedy to staraliśmy się przeszkodzić w tym polowaniu i jego organizacji w latach następnych.

Praca w Sea Shepherd pozwoliła mi na odkrycie jeszcze bardziej rewolucyjnych ruchów w Wielkiej Brytanii, a także fenomenowi anarchii i jej roli w ruchu akcji bezpośrednich. To był moment, gdy uświadomiłem sobie, że akcja bezpośrednia jest najbardziej skuteczna. I właśnie to doprowadziło mnie do kampanii, którą podjęliśmy w 1986 r. w celu powstrzymania nielegalnych polowań islandzkich. Odnieśliśmy sukces, zatopiliśmy dwa statki i zniszczyliśmy stację wielorybniczą. Zainspirowało mnie to i umocniło w dalszym podążaniu ścieżką radykalnych działań. Poprzez podejmowanie samodzielnych, autonomicznych akcji bezpośrednich i wykorzystywanie taktyki wojny podjazdowej, masz możliwość uderzać w o wiele więcej celów niż oni się spodziewają, jest to alternatywą dla strategii związanych z głównym nurtem, które do swych działań angażują lobbying,

protesty, demonstracje i pisanie listów.

Jakich taktyk używała Sea Shepherd? Na przykład podczas akcji na Islandii? Czy statki Sea Shepherd przejmowały inne statki?

Taktyka interwencji używana przez nas przeciwko wielorybnikom była prosta – ustawialiśmy swój okręt pomiędzy wielorybami a sporo mniejszym kutrem rybackim, który miał zapędzić wieloryby bliżej wybrzeża. Właśnie umieszczenie naszego statku nieopodal miejscowych przystani rybackich, obok których wieloryby migrowały, było wystarczająco odstrasżające dla miejscowych, aby nie ścigali wielorybów. Znając naszą reputację, którą zbudowaliśmy już w poprzednich latach, wiedzieli oni, że nie jesteśmy Greenpeace, że nie wystrzegamy się niszczenia mienia podczas naszych akcji, i to była opinia, która nam towarzyszyła i dowodziła naszej skuteczności w działaniu. Po prostu nasza obecność wystarczała jako groźba.

W Islandii było o wiele więcej ukrytych operacji sabotażowych. Bycie sabotażystą daje siłę, którą można wykorzystać, aby uderzyć w słabe ogniwo. Takie podejście jest bardzo skuteczne z prostej przyczyny – celem, o który przemysł i rząd dbają najbardziej, są ich zyski, ich zaplecze finansowe.

Earth First! działał radykalnie w USA przez 20 lat, a akcje bezpośrednie miały miejsce na długo przed tym. Wydaje się jednak, że Sea Shepherd, a także Greenpeace, który jest teraz główną organizacją tego nurtu, są jedynymi ludźmi podejmującymi akcje bezpośrednie na morzach na dużą skalę. Jak myślisz, jaka jest tego przyczyna?

Myślę, że jakikolwiek problem mający miejsce na stałym lądzie jest łatwiej dostrzegany po prostu dlatego, że jesteśmy społeczeństwem funkcjonującym na lądach. Duże znaczenie ma także fakt, że dewastacja przyrody, gdzie najczęściej może to być zauważone, wstrząsa ludźmi o wiele bardziej niż niszczenie środowiska, które odbywa się na oceanach. Wyczerpanie zasobów ryb i populacji ssaków morskich oraz zanieczyszczenie wód nie jest czymś zauważalnym, jeżeli nie żyjesz nad morzem, chyba że twoja egzystencja zależy bezpośrednio od zdrowego ekosystemu oceanu. Uważam, że akcje bezpośrednie na wodzie uczyniły bardzo dużo, aby zwrócić uwagę na problemy oceanów, ponieważ olbrzymia część ludzi naprawdę nie dostrzega skali zniszczeń. Mam tu na myśli to, że np. słyszycie o komercyjnym rybołówstwie opisywanym jako niszczenie połączy oceanów, ale bez nadania temu znaczenia i ważności, jest trudniej skierować kampanie akcji bezpośredniej przeciwko przemysłowi rybołówstwa. Mamy silną tendencję w naszej organizacji, żeby spektakularnie poruszać tematy, które pozwolą skierować uwagę opinii publicznej na szersze problemy. To przykre, że Sea Shepherd była jedyną organizacją naprawdę walczącą przy pomocy akcji bezpośrednich o ochronę mórz.

Jaka jest twoja opinia o Paulu Watsonie (założycielu Sea Shepherd)? Pytam, bo często słyszy się opinie, że to kontrowersyjna postać.

Uważam, że wiele osób ma skłonność do osądzania Paula bazując na swoich poglądach lub na tym, jak on wykonuje swoje akcje lub jaki ma styl życia. I właśnie dlatego, że uznajemy jedzenie mięsa za obłudne, w przypadku kogoś walczącego o prawa zwierząt, a jedzącego mięso jak Paul, dużo ludzi źle ocenia. Jednak bez względu na to, jakie są własne, życiowe decyzje Paula, trzeba patrzeć na to, co zrobił dla Ziemi. Po 30 latach akcji, nigdy nie stał się zinstytucjonalizowanym ekologiem, nie potępił taktyki akcji bezpośredniej jak wielu innych ludzi będących zwykłymi członkami ruchu, kiedy zdobywają pozycję w „górnym sferach” ruchu ekologicznego lub zamieniają swoje akcje w karierę. To wymaga szacunku. To jest wojownik, to jest ktoś, kto niejednokrotnie kładzie swoje życie na szali. Paul teraz dobiega sześćdziesiątki i nadal jest na statkach prowadzących kampanię. Jest niewielu aktywistów w naszym ruchu, którzy są zaangażowani tak długo i nadal pozostają na tym samym szczeblu członkostwa, na którym byli 20, 30 lat temu. Wydaje mi się więc, że zasługuje na nasz szacunek. I tak jak wspominaliśmy wcześniej, jest tylko jedna organizacja aktywna na otwartych

morzach, działająca po to, aby chronić i bronić wielorybów oraz innych mieszkańców głębin.

W 1989 r. ostatecznie uznałem, iż okres mojej współpracy z Sea Shepherd dobiegł końca. Zacząłem mieć odmienne zdanie w kwestii strategii, inaczej postrzegać działania Paula Watsona. Nie żebym kwestionował jej efektywność, lecz wiedziałem, że nie było dłużej sposobu na sensowne kontynuowanie takich działań. Sea Shepherd używała akcji bezpośredniej, ale akcji bezpośredniej, która mogła być zakwestionowana przez wprowadzenie międzynarodowych umów rządowych. Nie chciałem czekać aż międzynarodowe organy rozpoznają potrzebę ochrony zwierząt i Ziemi; ja po prostu chciałem zacząć podejmowanie akcji, które chroniłyby zwierzęta i Ziemię na podstawie prawa ekologicznego i moralnego. Chciałem podjąć akcje ukierunkowane na przemysł i przetwórstwo, niezależne od pomocy publicznej czy też pozyskiwania ludzi jako swojego celu lub wyznacznika efektywności. Podczas gdy wiele dobrych organizacji i kampanii budowało obronę swoich celów na bazie otrzymywania pomocy publicznej, doszedłem do wniosku, że rolą, którą mógłbym najlepiej pełnić, byłaby po prostu działalność jedynie w intencji niszczenia przemysłu. Myślę, że jest tak, ponieważ od początku dało się zauważyć wyraźnie typową odpowiedź mediów na akcje bezpośrednie - określanie ich jako działalności przestępczej, tak jak w przypadku akcji na Islandii. Przekroczyłem pewien próg, kiedy musiałem podjąć decyzję, czy moje akcje są motywowane ochroną zwierząt, co było mi bliskie, czy też jakimś niekonkretnym „rozwojem ruchu”. W końcu stwierdziłem, że obrona Ziemi i zwierząt znaczą dla mniej więcej niż budowanie popularności ruchów ekologicznych.

Kiedy byłeś w Anglii, chyba 10 lat temu lub więcej, czy to był pierwszy raz, kiedy wszedłeś w kontakt z działaczami ruchu wyzwolenia zwierząt?

Tak, w połowie lat 80. to był pierwszy raz, kiedy nawiązałem kontakt z ludźmi fizycznie zaangażowanymi w ochronę zwierząt, poprzez zakłócanie polowań, sabotaż sklepów futrzarskich i mięsnych. Najważniejsza była lekcja, która nauczyła mnie, że ludzie mający bardzo mało pieniędzy mogą wciąż podejmować akcje w obronie zwierząt i Ziemi. Poziom społecznej i ekologicznej odpowiedzialności był tam taki sam, jaki bardzo często słyszałem w tubylczych społecznościach, gdzie jednostka jest odpowiedzialna za swoje własne działania, ale także za ochronę i obronę tych, którzy nie mogą chronić się i bronić samodzielnie. To właśnie zabrzmiało we mnie bardzo mocno - nie musisz być częścią większej organizacji, aby być efektywnym.

Wybrałem się na polowanie na lisy w Bristolu i Plymouth i po raz pierwszy naocznie doświadczyłem skali przemocy, jaką ludzie gotowi byli użyć przeciwko nam, ponieważ próbowaliśmy chronić życie lisów. Była to kolejna zmiana, która miała miejsce w moim życiu - od tego czasu naprawdę uwierzyłem w pacyfizm. Wierzę także mocno, iż nie ma miejsca na przemoc, a nawet samoobronę. Uwierzyłem w bierny opór od kiedy zobaczyłem to, jako sabotażysta polowań. Gotowość do obrony siebie przed atakiem fizycznym była najbardziej efektywną taktyką na unikanie ataku psychicznego. Prawdziwe pokazanie twojemu wrogowi, że jesteś zdecydowany oddać, jeśli on zaatakuje, kreuje poziom szacunku ze strony twojego oponenta, jaki nie zaistniałby, gdybyś tylko zwinął się w kłęb i pozwolił się pobić. Poza tym bycie osobą, która ma szczery zamiar używania przemocy przy jednoczesnym jej pomijaniu wydaje się właściwą, logiczną taktyką do zademonstrowania swojej gotowości do obrony siebie i swoich towarzyszy.

Poziom przemocy przeciwko pokojowym aktywistom wzrósł bez względu na to, czy reprezentują oni Ziemię, zwierzęta czy prawa człowieka. To doprowadziło mnie do bycia nawet bardziej upartym w wysiłku na rzecz ominięcia fizycznej konfrontacji z naszymi przeciwnikami. Wybieranie własności instytucji, maszyn i budynków, które są używane do niszczenia życia, jest o wiele bardziej *non-violence* niż podejmowanie akcji, gdzie znajdujesz się w stanie konfrontacji z ludźmi, którzy kierują tymi maszynami i zajmują budynki i którzy trudnią się zabijaniem.

A więc udzielasz się w najbardziej anonimowy sposób, nigdy faktycznie nie skonfrontujesz się z kimś innym bezpośrednio?

Tak, ponieważ największe natężenie skłonności do przemocy, jaki zaobserwowałem w naszym ruchu, miało miejsce wtedy, gdy stajemy w obliczu konfrontacji z naszymi oponentami. I jestem silnie przekonany, że powinniśmy wybrać pole naszej bitwy roztropnie, ponieważ kiedy jesteśmy narażeni na aresztowanie i następujące potem procedury sądowe, to nie tylko dyskwalifikuje nas to osobiście z aktywności, ale kreuje także zależność naszego ruchu od wsparcia nas i otrzymania legalnej obrony. Niejednokrotnie widzieliśmy demonstracje w słusznych celach, zamienioną w zbiórkę funduszy na obronę aktywistów, którzy uczestniczyli w nich; problem przemienia się z ekologicznego w ochronę jednego z konstytucyjnych praw. Uznaję to za hipokryzję, ponieważ żądamy ochrony ze strony społeczeństwa będąc w tym samym czasie w opozycji wobec niego.

Pamiętam, że wspominałeś kiedyś, jak ważne są duchowe aspekty działalności ekologicznej i obrony zwierząt. Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej na ten temat?

Uważam, że ruchy ekologiczne i walczące o prawa zwierząt nie są tym specjalnie zainteresowane. Osobiście nie wyobrażam sobie żebym mógł to, w co wierzę, ubrać w ramy filozofii ekologicznej czy etos obrońców praw zwierząt. Dla mnie to niemożliwe, ponieważ tak naprawdę nie chodzi tylko o ochronę zwierząt czy środowiska naturalnego, ale o to, żeby być częścią globalnego sprzeciwu, który przez setki lat opierał się dominującemu światopoglądowi, tej ziemskiej pladze, która obejmując dziś tak wiele krajów, usiłuje opanować ludność tubylczą, zwierzęta i całą Ziemię, wykorzystując jej zasoby i traktując jako swoją własność.

Znając historię mojego ludu i będąc tak długo zaangażowanym w walkę, znam to zjawisko od bardzo dawna. Front Wyzwolenia Ziemi [ELF – Earth Liberation Front, radykalna organizacja ekologiczna, używająca m.in. metod sabotażu, niszczenia mienia itp. – przyp. redakcji DŻ] nie jest czymś nowym, jest jakby współczesnym wcieleniem ruchu oporu, który od dawna istniał na świecie. Na świecie, z którego pochodzi mój lud, i który wciąż istnieje dla wielu tubylczych ludów, ale także dla innych ludzi, którzy potrafią go rozpoznać. To świat, który postrzega każdą istotę, człowieka, zwierzę, roślinę jako część jednej nierozdzielnej całości.

Nie jestem pewien, czy ludzie zdają sobie sprawę, jak wyglądał kiedyś naturalny świat Północnej Ameryki, ale prawdę mówiąc to on ukształtował mój światopogląd. To właśnie ten pierwotny świat, z którego się wywodzimy, z którego wywodzą się wszystkie tubylcze ludy przed inwazją Europejczyków, był wysokorozwiniętą, tętniącą życiem cywilizacją. Nie byliśmy prymitywnym ludem, byliśmy bardzo zaawansowaną społecznością – w naszej nauce, w głębokim zrozumieniu praw natury – nie przez instytucje, ale przez świadomość uczestnictwa w kręgu życia, przez trwające kolejne pokolenia, obserwacje harmonii drzemiącej w naturze.

Nasi przodkowie przychodzą do nas opowiadać o minionych czasach, o tym, jak kiedyś wyglądał świat natury. W Ameryce Północnej żyło np. tyle bizonów, że patrząc w dal, jedynym, co mogłeś dostrzec na horyzoncie, była góra poruszających się zwierząt. Sklepienie lasów na Wschodzie było tak gęste i grube, że tworzyły one własny ekosystem, coś podobnego przetrwało jeszcze do dziś w Południowej Ameryce. Życia ptaków w tamtych czasach nie można w niczym porównać z dzisiejszą egzystencją. Zachowały się jeszcze zapisy dawnych białych podróżników i badaczy, którzy relacjonowali, jak niezliczone, zbite stada dzikich gęsi i innych zwierząt przysłaniały słońce, czasem na kilka dni. Wymarłych dziś kanadyjskich gołębi wędrownych – jak relacjonował pewien Europejczyk – było tak dużo, że trwało pięć dni zanim przeleciało jedno tylko stado. I zaledwie w niecałe 125 lat gatunek ten doprowadzono do wymarcia. Wielorybów, które są świętym stworzeniem dla mojego ludu, a także dla mnie, było tak wiele wzdłuż całego wybrzeża, że służyły Europejczykom pływającym po tamtych wodach jako punkt orientacyjny.

Tak wyglądał kiedyś świat. Nie będę kłamał mówiąc, że według mnie jest możliwe przywrócenie go, bo niestety szkody wyrządzone przez człowieka są zbyt poważne, żeby można je było naprawić w naszych czasach, a może nawet i w ciągu całego istnienia rodzaju ludzkiego. Ale na pewno kiedyś to się stanie, ponieważ Ziemia jest potężniejsza niż ludzkie działania, i chociaż wydaje się, że możemy zniszczyć środowisko każdej istoty żyjącej obecnie na planecie, Ziemia jest żyjącą siłą, jest organizmem i będzie wzrastać, ewoluować.

Myszę, że w stawianym przez nas oporze tkwi duch dziedziczony po naszych przodkach. Przemawia do nas, ponieważ żyjemy na tej samej Ziemi, na Ziemi, za którą minione pokolenia oddawały swoje życie. W rezultacie słyszymy ich płacz, a nasze dusze stają się domem dla ich strapionych dusz. Okazuje się, że jesteśmy dziećmi najeźdźców, dziećmi pokolenia odpowiedzialnego za rzeczy, z którymi teraz walczymy. Teraz to my staliśmy się narzędziem rewanżu, walczymy w samych trzewiach bestii Zachodu. Tu nie chodzi o walkę tubylczej ludności z nami, w dżungli opanowanej przez amerykańskie i brytyjskie korporacje, ale o walkę brytyjskich i amerykańskich obywateli z amerykańskimi i brytyjskimi korporacjami. Nie dla naszych prywatnych korzyści, ale dla mieszkańców tych ziem, które nie mogą same mówić we własnym imieniu.

W Ameryce kontynuacja tej walki stała się bardziej widoczna, pojawił się bezpośredni militarny konflikt pomiędzy Europejczykami a narodem indiańskim, trwający do dzisiaj.

No cóż, pochodzę z plemienia Yaqui koło Tuscon w Arizonie i kiedy widzę amerykańską flagę, czuję mniej więcej to samo, co Żyd na widok flagi nazistowskiej. Ta flaga wiele razy była niesiona w bitwie przeciw mojemu ludowi, i wciąż jest niesiona przeciw tubylczym ludom na różnych krańcach świata, i pewnie nadal będzie, ponieważ już dawno okazało się, że to zachowanie jest typowym dla amerykańskiego rządu, opiera się nie tylko na chęci kontroli i podporządkowania sobie naszego plemienia i reszty ludności świata, ale także całego świata natury.

Nie dalej niż 30 lat temu Ruch Indian Amerykańskich (American Indian Movement) musiał się zmierzyć z atakiem Amerykanów tylko dlatego, że chcieli reprezentować swoją ziemię, kulturę i tradycję. Wywodząc się z narodu, gdzie ludzie wciąż żyją w harmonii z Ziemią, postrzegają siebie, zwierzęta i całą Ziemię jako jedną całość, jest dużo łatwiej zrozumieć nasz opór. Można łatwo zaobserwować, że plemienni działacze ostatniego stulecia współcześnie odnajdują się w radykalnych ruchach obrońców środowiska czy obrony praw zwierząt, ruchach antyglobalistycznych czy broniących praw człowieka. Chodzi mi o to, że tak naprawdę walczymy o ten sam światopogląd i system wartości, o który długo i z trudem walczyli ludzie przed nami. Kiedy zostałem zmuszony do ukrywania się i życia w ucieczce, znalazłem bezpieczne schronienie pośród miejscowych ludzi, których przodkowie umarli za tę samą sprawę, o którą ja wtedy walczyłem. Jeśli nawet walka o prawa zwierząt i ekologia były im mało znane, to podstawy tego, o co walczyliśmy były podobne.

Czy możesz scharakteryzować relacje, jakie łączyły Ruch Indian Amerykańskich, z innymi indiańskimi aktywistami oraz z obrońcami praw zwierząt i z Earth First?

Myszę, że najlepiej opisać to na przykładzie, który był swego czasu mocno rozdmuchany przez media w Ameryce Północnej, kiedy szczerp Makah ze stanu Waszyngton zdecydował wykorzystać przyznane im wcześniej prawo do polowu wielorybów. Decyzja ta spotkała się z ostrym sprzeciwem ze strony obrońców praw zwierząt i środowiska ekologów, głównie uprzywilejowanych białych reprezentantów klasy średniej. Media chętnie wykorzystały tę sytuację, demonstrując oczywisty rozłam pomiędzy dwoma różniącymi się sprzymierzeńcami. Co mnie naprawdę oburza, co wyrządziło szkodę obu naszym organizmom, to fakt, że nigdy nie nagłaśniano tych problemów, o które razem walczyliśmy. Ekolodzy i obrońcy praw zwierząt nieraz współpracowali z indiańskimi aktywistami, m.in. w walce przeciw kopalniom węgla i uranu w Arizonie, w obronie ziemi Szoszonów w Newadzie, w walce o ochronę stad bizonów oraz ekosystemu parku Yellowstone. Wszystkie te projekty były prowadzone

wspólnie, co przyniosło dobre efekty i wzmocniło solidarność pomiędzy obiema stronami.

Ale teraz my (ekolodzy) przez udział w kampanii przeciw rdzennym Amerykanom, pozwoliliśmy przeciwnikom dokonać rozłamu w naszych szeregach. Wydaje mi się, że czeka nas jeszcze długa droga zanim będziemy mogli mówić o wspólnej podstawie pomiędzy ruchami rdzennych Amerykanów a aktywistami walczącymi o prawa zwierząt i Ziemi. Musimy sobie uświadomić, że jesteśmy częścią zachodniej kultury i tak naprawdę nie rozumiemy, co to znaczy żyć w sposób, o którym mówimy, w przeciwieństwie do Indian, którzy wzrastali w światopoglądzie jedynie zaadoptowanym przez nas.

Czy uważasz, że organizacjom broniącym Ziemi i zwierząt brakuje czasami tego duchowego aspektu, o którym mówisz?

Oczywiście. Myślę, że większość ludzi ma pewnego rodzaju alergię na jakkolwiek pojętą duchowość. Jest to głównie spowodowane tym, że większość naszych doświadczeń nie ma nic wspólnego z duchowością jako taką, ale jest związana z religią rozumianą w kontekście chrześcijaństwa, która jest naprawdę przeciwieństwem tego, w co wierzymy. Tak więc, gdy mówimy o duchowości bardzo trudno jest pozbyć się tego złego skojarzenia. Ale z drugiej strony uważam, że bardzo ważne jest, aby utożsamiać się na poziomie duchowym z tym, o co się walczy, ponieważ daje to ogromną moc. Przeszłe pokolenia, o których wspominałem wcześniej, wierzyły w moc Ziemi i moc zwierząt, co pozwoliło im stawić czoła ciągłym prześladowaniom.

Powodem, dla którego mówię tyle o duchowości jako o niezbędnym składniku działań bezpośrednich, jest po prostu fakt, że czyni ona nasze działania bardziej efektywnymi, dodaje energii i nie pozwala popaść w rozpacz, zniechęcenie i depresje, jak to się zdarza wielu aktywistom. Wielu z moich przyjaciół było bliskich popełnienia samobójstwa, będąc wystawionym na tyle zła dookoła i mając tak niewiele radości w życiu, nie dostrzegali na świecie nic, dla czego mogliby żyć. Dla mnie jedynym sposobem utrzymania wiary w to, co robię, jest odkrywanie energii Ziemi, piękna zwierząt i rzeczy, których one nas uczą – to pozwala mi trwać. I gdyby nie ta zdolność dostrzegania piękna dookoła, pewnie sam popadłbym w tarapaty.

Uważasz zatem, że duchowość ma bezpośrednie zastosowanie i może czynić akcje bardziej efektywnymi?

Walczymy o życie i kulturę pierwotnych mieszkańców tych ziem, o życie zwierząt. Kiedy widzimy piękne zwierzę, które nie jest prześladowane, kiedy możemy obserwować jego piękno w jego własnym środowisku; kiedy popatrzymy na tubylców, żyjących w harmonii z Ziemią, którzy nadal trwają mimo psychicznego i fizycznego cierpienia, które im zadajemy, to wydaje mi się, że ważną rzeczą jest wyciągnięcie wniosków z doświadczeń tych ludzi, nauczenie się czegoś z podejmowanych zmagani, zamiast ciągłej walki, i jednoczesnego życia w destruktywnym systemie człowieka i według panujących w nim zasad.

Wielu Indian wierzy, że istnieje szczególna więź łącząca wszystkie istoty i jeśli potrzebujemy pomocy, wystarczy przywołać zwierzęta, a one przyjdą, żeby nam pomóc tak, iż będziemy mogli ocalić nie tylko nas samych, ale wszystkie gatunki. Kiedy musiałem się ukrywać z powodu akcji przeciw fermie norek, zamieszkałem na tej starej ziemi. Po raz pierwszy żyłem w ten sam sposób, jak moi przodkowie, w nierozzerwalnej więzi ze zwierzętami, żyjąc jak one, będąc ściganą istotą. Dużo się wtedy modliłem, prosiłem o przewodnictwo – żyłem w strachu, nosiłem ze sobą broń, znałem sposoby, jakimi FBI chciało zniszczyć Ruch Indian Amerykańskich czy Czarne Pantery, wiedziałem, że w końcu przyjdą mnie zabić. I pewnego dnia, kiedy chodziłem po dziczy, prosząc o pomoc, zobaczyłem kojota i jastrzębia. Zbliżyły się i zdawały się patrzeć prosto na mnie, poczułem jak ciężkie brzemie uchodzi ze mnie, w podmuchu wiatru usłyszałem pieśń, "Teraz jesteś jednym z nas –

jesteś ścigany, tak jak my, i kiedykolwiek będziesz potrzebował naszej pomocy, wezwij nas, a przyjdziemy, ale nie będziemy mogli być tu, jeśli będziesz wierzył bardziej w nich, niż w nas". To wydarzenie było punktem zwrotnym, zacząłem akceptować swoją wiarę.

Mieliśmy jeszcze jedną akcję do przeprowadzenia. Podczas robienia wywiadu środowiskowego w sprawie ferm nerek natknęliśmy się na badania nad stworzeniem nowych pułapek i trucizn, żeby łatwiej było kontrolować kojoty w celu ochrony zwierząt hodowlanych. Doświadczenia wyglądały w ten sposób, że przez 4-5 dni trzymano kojoty, głodząc je, później podkładano im nowo wynalezione trucizny i pułapki i oceniano ich skuteczność. W tamtym czasie musieliśmy zrezygnować z jakichkolwiek działań. Później, kiedy modliłem się w sekretnym miejscu, które znalazłem, kiedy jeszcze mieszkałem w Oregonie, kojot pojawił się znowu. Była wtedy pełnia, w powietrzu dało się wyczuć coś świętego, zrozumiałem wówczas, że każda z tych istot była członkiem jakiejś społeczności, przynależała do swojej rodziny, zupełnie tak jak my, stało się dla mnie jasne, że muszę dokończyć tę ostatnią akcję. Zebrałem kilkoro znajomych, wiedziałem, że nie ma czasu do stracenia, po wstępnym rozeznaniu postanowiliśmy spalić ośrodek badań nad drapieżnikami.

Czy masz może jakieś wskazówki lub pomysły dla organizacji ekologicznych i ruchów obrony praw zwierząt?

Myślę, że to właśnie to, o czym przed chwilą mówiłem - najważniejszą rzeczą, jaką mogę doradzić jest znalezienie tego, co nas wzmocni, co sprawi, że będziemy silni, co sprawi, że będziemy oddani temu, o co walczymy. Tak się złożyło, że żyłem w dwóch światach, z jednej strony brałem udział w działaniach bezpośrednich jako politycznie zaangażowany aktywista, a z drugiej byłem osobą, która wzrastała wśród zasad poszanowania Ziemi i zwierząt. Wiele mi to dało i dzielę się tym teraz z braćmi i siostrami, którzy walczą u mego boku. Odczuwam ogromną moc podtrzymując nierozzerwalne więzi z naturą, tak jak czynili to moi przodkowie. Ziemia nie dba o to, jakiego jesteś koloru skóry - obchodzą ją twoje działania. Nie trzeba być Indianinem, żeby cieszyć się z odnowionego związku z przyrodą, wystarczy okazać im swoją miłość, współczucie, wystarczy zaakceptować ich jako członków swojej rodziny; a oni podzielą się z tobą swoją mądrością - dadzą receptę na przetrwanie. Byłoby głupotą odrzucenie tego przez kogoś, kto walczy o ich ocalenie.

Teraz nasza kolej - celem naszego życia na Ziemi nie jest tylko nasz interes. W starych indiańskich podaniach mówi się: jesteśmy siódmym pokoleniem - jesteśmy ludźmi, którzy zasiedlili tę planetę i teraz nadszedł czas, żeby chronić ją dla następnych siedmiu pokoleń. To jest to, co musimy robić, w sposób, jaki sami wybierzemy, czy to walcząc przeciw wojnie w Iraku, czy chroniąc zwierzęta, torfowiska, lasy czy pierwotne kultury - musimy zrozumieć, że ten wysiłek jest potrzebny, to demonstracja wielkiej miłości. Wiesz, że skończyłem w więzieniu, trafiłem tam na cztery lata, właśnie wypuścili mnie po trzech latach za dobre sprawowanie - po jedenastu latach wreszcie udało mi się zamknąć ten rozdział mojego życia. Jestem jednak wdzięczny, że w ten sposób doświadczyłem zjednoczenia ze zwierzęcymi braćmi. Co to jest cztery lata w więzieniu w porównaniu z tym, jaką ofiarę ponieśli moi przodkowie. Były czasy, kiedy wieszali naszych ludzi na liniach wysokiego napięcia. Walczymy teraz nie tylko dla zwierząt, Ziemi, naszych rodzin czy nas samych - ale dla dzieci. Musimy o tym pamiętać - nasze dzieci zamieszkają świat, za który my teraz jesteśmy odpowiedzialni, i za nic w świecie nie chciałbym tłumaczyć moim wnukom dlaczego nie zrobiłem nic, żeby zatrzymać destrukcję, którą dziś widzimy. Dlatego proszę ludzi, żeby pomyśleli lub pamiętali, kiedy przyjdzie czas - a właśnie nadszedł - żeby chronić Ziemię.

Tłumaczenie: Diana Pałka i Marek Dziemiński

Powyższy tekst jest skróconą wersją wywiadu, który ukazał się w brytyjskim czasopiśmie „Do or Die” nr 10, 2003. Tytuł pochodzi od redakcji DŻ.

Rodney Adam Coronado jest eko-anarchistą, aktywistą broniącym praw zwierząt i redaktorem pisma ekologicznego „Earth First! Journal”. W roku 1985 r., mając 19 lat zaangażował się w działania bezpośrednie, których zwolennikiem jest do dziś. Organizowane przez niego akcje, m.in. zniszczenie stacji wielorybniczej, kosztowały ten przemysł utratę ponad 2 mln dolarów. W grudniu 2004 r. został skazany na 6 lat więzienia za udział w akcji sabotażowej w obronie kuguarów w kanionie Sabino koło Tucson. Coronado pochodzi z plemienia Pasqua Yaqui, obecnie żyje w Tucson, w Arizonie.